Krystyna Wojtkiewicz
Coolturalny Klub Seniora w Twardogórze
„Szkolnictwo w Dolinie Baryczy w czasach naszej młodości i współcześnie”.
„Zostań zawsze w mej pamięci…”
 Pamięć jest ulotna. Ale patrząc na stare fotografie łatwiej ją przywołać.
Muszę zacząć te wspomnienia od stwierdzenia, że całe swoje życie, również dorosłe, spędziłam w jednej szkole, tzn. w tym samym szkolnym budynku przy ul. Staszica 3 (dawniej ul. Szkolna 1) w Twardogórze.
W latach mojej edukacji funkcjonowała w nim zarówno 7-klasowa szkoła podstawowa, jak i 4-letnie liceum ogólnokształcące. Chodziłam do tzw. jedenastolatki, którą ukończyłam w 1965 roku. Po kilku latach powróciłam do „mojej” szkoły, tylko w innej roli – polonistki, wychowawczyni, zastępcy dyrektora. Ciągle te same schody (dosłownie i w przenośni – tylko z innej perspektywy) i te same sale lekcyjne, aula, boisko sportowe. Zawsze jest to „moja” szkoła i zawsze będę ją wspominała z sentymentem.
 Z tych najmłodszych lat pamiętam duży, pusty plac przed budynkiem szkolnym, przechodzący w stary sad owocowy. Dzisiaj wyrosły tam domki jednorodzinne. Ale przed laty na tym wolnym placu było prowizoryczne boisko do piłki nożnej. Chłopcy z liceum po lekcjach kopali piłkę, a wśród nich – z podkasaną sutanną – gonił za piłką ksiądz Michał Szafarski. Bardzo go wszyscy lubiliśmy i – chyba – ze wzajemnością. Religii nie uczyliśmy się w szkole, biegaliśmy raz w tygodniu po lekcjach na „organistówkę” – dawniej pojedynczy budynek w otoczeniu bujnej zieleni przy ul. Ogrodowej 1, dziś bloki mieszkalne.
 Pamiętam egzamin wstępny do liceum. Czerwiec… upalne lato… biała sukienka w czerwone groszki, zgromadzona w klasie młodzież, oczekująca na ustny egzamin, robiąca sobie wzajemnie psikusy, zupełnie niepoważna – jak wskazywałaby na to chwila. Każdy chciał zaistnieć w grupie od początku. Żartom nie było końca. Pamiętam, jak wylądowałam na parkiecie klasy, kiedy dowcipny kolega zręcznym ruchem usunął krzesło, na którym chciałam usiąść. Bolesny był zwłaszcza rumieniec na mojej twarzy.
Szanowna komisja egzaminacyjna w auli szkolnej – poważna, z nosami w dokumentacji i my – beztroscy, ot... dzieciaki, które raczej nie zdawały sobie sprawy z dostojeństwa egzaminów. Bardziej byliśmy zaaferowani nowymi koleżankami i kolegami, z którymi mieliśmy spędzić następne cztery lata.
Dzisiaj raczej młodzież szkolna bardziej świadoma jest egzaminów, przecież są „karmieni” testami na każdym kroku edukacji.
 Z liceum wyniosło się przyjaźnie, które trwają do dziś, mimo że jesteśmy rozproszeni po całym kraju, a nawet – świecie.
 Bardzo ważne są dla mnie szkolne wspomnienia sportowych zmagań. Wiele się działo wtedy w twardogórskim sporcie za przyczyną licealistów i nauczyciela wychowania fizycznego, pana Adama Kaźmierczyka. Od roku 1959 istniał przy liceum Międzyszkolny Klub Sportowy „Echo” – na początku z sekcja lekkoatletyczna. Kochałam biegi – na 60, 100, 200 metrów oraz przez płotki (80 metrów), startowałam w sztafecie 4x100. To skupienie i napięcie w blokach startowych było przeżyciem nie do zapomnienia.
Nie byłam żadnym orłem, ale uprawianie lekkoatletyki sprawiało mi ogromną frajdę. Zwłaszcza, kiedy nasz profesor i trener jednocześnie, pakował wszystkich zawodników na zawody powiatowe (w Sycowie) do samochodu ciężarowego krytego plandeką, w którym wewnątrz ustawione były drewniane ławki. Śpiewom nie było końca, nawet w drodze powrotnej, kiedy zmęczeni wysiłkiem wracaliśmy z licznymi dyplomami i nagrodami. Każdy taki wyjazd kończył się prezentem od trenera – tabliczką czekolady! I jak nie darzyć sympatią takiego człowieka?
Grało się też chętnie w piłkę ręczną, tzw. szczypiorniaka. A zimą – królowały łyżwy. Trenowaliśmy na basenie twardogórskim, który zamarznięty, służył za lodowisko. Wielu z nas cieszyło się wówczas tym sportem.
W późniejszych latach trener założył przy MKS „Echo” sekcję łyżwiarstwa szybkiego na lodzie. Kłopoty miał, kiedy zima niedostatecznie skuła basen lodem. Poza tym przed ważniejszymi zawodami potrzebny był wytężony trening, więc łyżwiarze wyjeżdżali na lodowisko we Wrocławiu (w każdą niedzielę o 6.00 rano pociągiem), a nawet do Zakopanego, gdzie znajdował się jedyny w Polsce tor do jazdy szybkiej na lodzie. Sport wymaga wyrzeczeń i poświęceń. Łyżwiarstwo rozsławiło szkołę twardogórską w całym kraju. Wystarczy, jak podam niektóre nagłówki ówczesnego dziennika „Gazety Robotniczej”: „Echo coraz głośniejsze na łyżwach”, „Twardogóra z łyżwiarstwa słynie” czy „Głośne Echo z Twardogóry”.
 Wspomnienia obrazujące „moją” szkołę powinny zawierać nie tylko blaski, ale i cienie jej historii. Tych drugich było znacznie mniej, ale…
Otóż - w liceum obowiązywał regulamin szkolny, który wprowadzał pewien rygor.
Przede wszystkim - musieliśmy nosić mundurki. Wielkie słowo dla granatowego fartucha uszytego z podszewki i ozdobionego białym kołnierzykiem. Ubiór nieciekawy i bez aplauzu. Bardziej eleganccy mogli być nasi koledzy, którzy nosili marynarki. Były też tarcze, które obowiązkowo trzeba było nosić nie tylko w szkole, ale i poza nią. Niektórzy próbowali dopinać je na agrafkę bezpośrednio przed wejściem do szkoły, zwłaszcza kiedy u wejścia stał dyżurujący nauczyciel. Ale ta sztuczka miała krótkie nogi. Tarcza musiała być przyszyta na mundurek i na wierzchnie okrycie, a na berecie czy czapce musiała widnieć plakietka LO.
W zasadzie tarcza nie powinna wzbudzać złych emocji, ale jej nie lubiliśmy. I to powszechnie.
 Dyscyplina obowiązywała też poza szkołą. Dotyczyła np. przebywania w kawiarni. Tak! W czasach mojej młodości była w Rynku kawiarnia „Pod Filarami”. Wchodziło się do niej od ul. Bieruta (dziś Ratuszowej) po schodkach. W pierwszej sali można było kupić ciasto, lody, napoje. Wyżej po schodkach – na pięterku – były stoliki z krzesłami, ale raczej nie dla uczniów, ewentualnie do godziny 18.00. Ale i tak wiedzieliśmy, kiedy „czujki” nauczycielskie sprawdzały ewentualny pobyt tam uczniów.
 Było też wówczas w Twardogórze kino pod nazwą „Zryw”, które wyświetlało filmy przez wszystkie dni tygodnia. Biegało się więc niemal na każdy film, a rarytasem były filmy zachodnie. Była to wspaniała rozrywka, ale też ograniczona. Wolno było iść tylko na pierwszy seans o godzinie 17.00, chodzenie na seans o godzinie 19.00 było zabronione.
 Nie wspominam tu o zakazie palenia papierosów i picia alkoholu – to ciężkie wykroczenia, za które można było „wylecieć” ze szkoły. I takie przypadki się zdarzały. Dzisiejsza młodzież pewnie „obśmiałaby” się z tych obostrzeń. A jak jeszcze dodam zakaz wszelkiego upiększania urody? Teraz makijaż, malowanie paznokci, kolorowe włosy, tatuaże są powszechne wśród uczniów. I nikt się nie oburza, co najwyżej obejrzy za jakimś oryginałem. Dzisiaj istotą pracy pedagoga jest dbanie o to, by nigdy, ale to przenigdy i pod żadnym pozorem nie stresować młodzieży!
I mimo że dawniej szkoła była jednym, wielkim, trwającym 11 lat stresem, wszystko było prostsze. Tym bardziej, że stres może być też mobilizujący.
 Począwszy od szkoły podstawowej należałam do harcerstwa. Tego prawdziwego. Czas wolny zajmowały mi zbiórki, na których uczyliśmy się historii ZHP, prawa harcerskiego, zdobywaliśmy sprawności i odznaki. Wiele piosenek harcerskich, obozowych, turystycznych, które śpiewaliśmy przy ogniskach i na wędrówkach do dzisiaj brzmi w uszach. Wspominam często obozy harcerskie, które fascynowały mnie od zawsze swoją obrzędowością i urokiem. Rozkładanie namiotów, budowanie totemów, harcerskie zwiady, zdobywanie sprawności wędrownika czy terenoznawcy, alerty, ogniska, nocne warty, a także szorowanie przypalonych garów… piaskiem i wodą ze strumyka górskiego – to była prawdziwa szkoła życia. Harcerstwu zawdzięczam żyłkę rajdową, którą kontynuowałam po latach z młodzieżą szkolną, wędrując po naszej pięknej krainie.
 Zaskoczeniem zapewne będzie, jeśli wspomnieniem przywołam tradycje wieczorków tanecznych albo karnawałowych balów przebierańców, które organizowano w szkole za moich czasów licealnych.
Niemal co miesiąc w sobotę o godzinie 18.00, kiedy koniec tygodnia zwiastował odpoczynek od szkoły (w sobotę też odbywały się lekcje), młodzież gromadziła się w auli szkolnej na tańcach. Organizacją wieczorków zajmowało się jakieś koło szkolne czy organizacja młodzieżowa, oczywiście pod czujnym okiem dyżurujących pedagogów. Mimo że impreza kończyła się około 22.00, była zawsze przyjmowana ochoczo.
Może to anachroniczne, ale piękne, kiedy tańczyliśmy i czuliśmy swoją bliskość. Piosenki z lat 60., które odtwarzaliśmy z płyt i pocztówek dźwiękowych, i ze słowami których wiązaliśmy swoje uczucia, przemawiały rytmem Czerwonych Gitar, Skaldów, Piotra Szczepanika… I to była istota tańca.
Teraz młodzież na dyskotekach tańczy też razem ale osobno – każdy sobie sam „sterem i okrętem”.
 Bale karnawałowe były wielkim wydarzeniem, bo należało przygotować kostium. Przebierali się i uczniowie, i nauczyciele. Trudno było czasem poznać, z kim się tańczy.
 Najbardziej uroczystymi zabawami były oczywiście studniówki. Ale – jakże inne od dzisiejszych, odbywających się w lokalach, „wypasionych”, w balowych sukniach…
Niezmienny jest chyba tylko jeden element – polonez, rozpoczynający uroczystość.
Moja studniówka odbyła się w auli szkolnej i przygotowywaliśmy ja sami – a właściwie – nasi bohaterscy rodzice, którzy na swoje barki wzięli cały wystrój stołów biesiadnych, a było iście po staropolsku…
A nasz strój? Białe bluzki i granatowe spódnice, najlepiej plisowane, pantofle na płaskim obcasie, a najlepiej – baletki(!) Najbardziej bulwersowały nas te baletki. Ale po północy, gdy atmosfera się nieco rozluźniła, ubrałyśmy buty na cienkim koturnie, a najodważniejsze z nas – szpilki. Chociaż to niewiele znaczyło wobec przedniej zabawy i przytulania się w tańcu.
 Mój rocznik szkolny (dwie klasy: „a” – klasa żeńska i moja „b” – klasa koedukacyjna) zorganizował również bal maturalny. W ręku mieliśmy już świadectwo dojrzałości oraz cudownych rodziców, którzy znów przygotowali nam niezapomnianą imprezę. Nie jestem pewna, ale był to bodajże ostatni bal maturalny w szkole. Później ta tradycja zanikła. Nie docenialiśmy wtedy faktu, ze w takim gronie spotykamy się po raz ostatni. Na następnych spotkaniach z okazji zjazdów szkolnych nigdy nie byliśmy w komplecie.
 Wspomnień czar zakończę jeszcze jedną refleksją. Taką polonistyczną.
Otóż, za moich czasów z powodu błędów ortograficznych można było „oblać” maturę. Dziś, w wyniku epidemii dysleksji i dysgrafii, ortografia jest przedmiotem bardziej martwym niż łacina. I to smuci nie tylko nauczyciela – polonistę.
 Wspomnieniom i refleksjom tu przedstawionym starałam się nadać pozytywną wartość. Z nostalgią przytoczę na koniec kilka słów hymnu „mojej” szkoły:
„Zostań zawsze w mej pamięci,
Taka dobra, mądra, jasna…”
Zdjęcia:
1. „Moja” szkoła na starej fotografii,
2. Tarcza LO z lat 60.
3, 4, 5. Pierwszy obóz harcerski – Lasocin (Sudety) 1956r.
6. Zbiórka harcerska w terenie – 1958r.
7. Harcerze w pochodzie pierwszomajowym – 1963r.
8, 9. Wędrujemy po Wzgórzach Trzebnickich – 1975r.
10. Bal karnawałowy w szkole -1963r.
11. Bal karnawałowy w roku 1964,
12. Tradycyjna pielgrzymka do Częstochowy przed maturą spotkanie z ówczesnym arcybiskupem krakowskim, biskupem krakowskim ks. Karolem Wojtyłą, przyszłym papieżem, 9.06.1965r.
13. Ze świadectwami - na zakończenie nauki religii – maj 1965r. Po lewej – ks. Adam Cichoń, z prawej – ks. Michał Szafarski
14. Pisemny egzamin dojrzałości w auli szkolnej – 20.05.1965r.
15. Zjazd absolwentów z okazji 60-lecia Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych w Twardogórze – z profesorem Stefanem Kulasem, wychowawcą klasy – 8.10.1994r.